N^ER 29.

WE WTOREK
Dnia 15 Października 1833 roku.

ROZMAITOŚCI.

PISMO DODATKOWE DO GAZETY WARSZAWSKIÉJ.

LAURA, czyli CZERWONA PIECZĘĆ.

Historya pułkowa.

(Tłómaczenie z dziennika Paryzkiego: *Petit Courrier des Dames.*)

(Ciąg dalszy.)

»Nareszcie powiedziałem mu: »Przyjacielu, opowiedz mi przecież swoję historyą. Cóż, u diabła! zrobiłeś tym niecnym adwokatom, którzy tam siedzą, jak pięć części Rządu? Zdaje się, że cię chcą zgubić. A to ciekawa.« Ścisnął ramionami, spuściwszy głowę z słodkim uśmiechem i rzekł: »Mój Boże! Kapitanie, nic osobliwszego. Trzy kuplety *vaudevillu* na dyrektoryum, i to jest wszystko.«—»Nie podobna!« powiedziałem. — »Tak jest! nawet kuplety nie były bardzo dobre. Aresztowano mię 15go *fructidor* i zaprowadzono do więzienia, osądzono 16go i skazano najprzód na śmierć, a potém z łaski na deportacyą.«—»A to szczególna,« rzekłem, »dyrektorowie są to łaskawi panowie, ponieważ list, o którym wiesz, rozkazuje mi, abym cię rozstrzelał.« Nic nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął, okazując dosyć odwagi na młodego dziewiętnasto-letniego człowieka, spojrzał jedynie na swoją żonę i otarł sobie czoło, z którego pot kroplami spływał. I u mnie, przynajmnéj na twarzy, były krople, a drugie w oczach.«

»Zacząłem daléj: »Zdaje się, że ci obywatele nie chcieli oprawić WPana na lądzie, mniemali, że tu rzecz ta nie tyle wyda się ważną, lecz dla mnie jest to arcy-smutna; albowiem jakkolwiek dobrém jesteś dzieckiem, nie mogę się uchylić; wyrok śmierci jest według wszelkiéj formy, rozkaz wykonania podpisany i zapieczętowany, nic nie brakuje.« Ukłonił mi się bardzo grzecznie zarumieniwszy się: »Nie żądam nic Kapitanie,« rzekł głosem, jak zazwyczaj słodkim, »byłbym bez pocieszenia, gdybyś WPan z powodu mnie uchybił swéj powinności. Chciałbym jedynie pomówić trochę z *Laurą* i prosić WPana, abyś się nią opiekował, w przypadku gdyby mnie przeżyła, czego się nie spodziewam.«—»Oh! co to, to prawda,« rzekłem, »przyjacielu, jeżeli nie będziesz nic miał przeciw temu, odwiozę ją do familii powróciwszy do Francyi, i nie opuszczę jéj, aż mnie nie będzie już chciała widzieć. Lecz mojém zdaniem, możesz sobie pochlebiać, że tego ciosu nie przeżyje: biedna kobieta!« Wziął mię za obie ręce, ścisnął i rzekł:

»Poczciwy Kapitanie, więcéj nademnie cierpisz dla tego, co ci uczynić pozostaje. Pojmuję to; lecz cóżmy temu poradzimy? polegam na WPanu, że jéj zachowasz resztę lichego dobytku mego, że się nią będziesz opiekował, że będziesz czuwał, aby rąk jéj doszło to, coby jéj stara matka zostawiła, nie prawdaż, że będziesz ochraniał jéj życie, honor, nie prawdaż? że będziesz ochraniał jéj życie, honor,« powtórzył, »a oprócz tego, aby zawsze oszczędzano jéj zdrowie. Słuchaj,« dodał ciszéj, »mam panu powiedzieć, że jest bardzo delikatna, często cierpi na piersi, że aż wpada w mdłości po kilka razy na dzień. Potrzeba, aby się zawsze ciepło trzymała. Zresztą będziesz jéj ojcem, matką i zastąpisz mnie, ile można, nie prawdaż? gdyby mogła zachować pierścienie, które ma od matki, bardzobym się cieszył. Lecz jeżliby potrzeba było sprzedać je dla niéj, ha! cóż robić. Biedna *Lauro*, patrzaj WPan, jak piękna.«—Ponieważ scena ta coraz stawała się czulszą, zacząłem się nudzić: zmar-

szczyłem czoło; mówiłem do niego z twarzą wesołą, abym nie okazał słabości, lecz dłużéj nie mógłem wytrzymyć. Rzekłem nareszcie: »dosyć tego, ludzie poczciwi i co do reszty łatwo się porozumieją. Idź mówić z nią i śpieszmy się.« Ścisnąłem go za rękę po przyjacielsku, a gdy on mojéj nie puszczał i szczególnym patrzał na mnie wzrokiem: »Jeżeli mogę dać ci jaką radę,« dodałem, »to nie mów jéj nic o tém wszystkiem. Rzecz tę tak ułożymy, że ani ona, ani ty nie będziecie się tego spodziewać; bądź spokojny, to do mnie należy.«—»Ah!« rzekł, »nie wiedziałem o tém. W rzeczy saméj tak będzie lepiéj.— Z resztą pożegnanie! pożegnanie, to osłabia...«—»Tak, tak,« odpowiedziałem, »nie bądź dzieckiem, to będzie lepiéj. Nie ściskaj jéj, przyjacielu, nie żegnaj się z nią, jeżeli możesz, inaczéj zginąłeś.« Ścisnąłem go jeszcze serdeczniéj i odprawiłem.— Oh! jak gorzko było to dla mnie!«

»Zdaje mi się na honor, że dobrze dochował tajemnicy, ponieważ po pod boki przechadzali się przez kwadrans i powrócili na pokład dla odebrania sukni, którą jeden z moich majtków był ułowił.— Noc nadeszła natychmiast. Była to chwila, z któréj postanowiłem korzystać, lecz dla mnie chwila ta trwa aż do dziś i, jak cień, nie opuści mię, aż do śmierci.«

Tu zatrzymał się stary komendant, bałem się przemówić, aby nie odwrócić myśli jego. Zaczął znowu bijąc się w piersi:

»Chwila ta, powtarzam panu, jeszcze do dziś nie mogę jéj pojąć; czułem, że ze złości włosy jeżą mi się na głowie, a przecież nie wiém, co kazało mi być posłusznym i popychało mię naprzód; przywołałem Officerów i rzekłem im: »Mości Panowie, spuście jeden bat na morze, ponieważ teraz jesteśmy katami. Weźmiecie nań tę kobietę i powieziecie ją, robiąc wciąż wiosłami, aż póki nie usłyszycie wystrzału broni ręcznéj; potém powrócicie.« Być posłusznym kawałkowi papieru, bo cóż to wreszcie było innego, musiało bydź coś w powietrzu, co mię do tego popychało! Widziałem z daleka, jak biedny człowiek, straszny był to widok! klęcząc przed swoją *Laurą*, całował jéj kolana i nogi. Nie prawdaż, że byłem bardzo nieszczęśliwy? Rozłączyć ich... wszyscy jesteśmy zbrodniarzami. Rozłączyć ich... Biedna rzeczpospolita jest ciałem martwem, przez robactwo roztoczoném! Dyrektorowie, dyrektorium są to gadziny! Porzucam morze; wszystkich was się nie boję, niech im powiedzą, co tu mówię, żartuję z tego! Ah, wcale o nich nie dbałem! chciałbym był mieć ich w swojéj mocy, wszystkich pięciu kazałbym był rozstrzelać tych łotrów.— Ah! byłbym to uczynił, tylem dbał o życie, ile o ten deszcz, co pada... Życie, jak moje...«

Głos komendanta słabiał powoli i stawał się tak nie pewnym, jak jego słowa, i postępował zagryzając usta i marszcząc brwi w straszném dzikiém roztargnieniu. Miewał małe poruszenia konwulsyjne i uderzał muła pochwą swego pałasza, jak gdyby go chciał zabić. Najbardziéj mię zastanowiło, że żółta skóra twarzy jego mocno się zaczerwieniła; rozpiął suknię i odsłonił gwałtownie piersi na wiatr i deszcz; tak postępowaliśmy daléj w głębokiém milczeniu. Widziałem dobrze, że już nie będzie o sobie mówił, i że będę go musiał wypytywać: »Pojmuję,« rzekłem, jak gdyby on skończył już był swoję historyą, »że po tak okropnéj przygodzie, potrzeba sobie zbrzydzić swoje rzemiosło.«

»O! rzemiosło, czyś szalony!« rzekł do mnie z oburzeniem, »to nie jest rzemiosło! Kapitan okrętu nie będzie nigdy przymuszony sprawować rzemiosła kata, oprócz gdy nastaną rządy rozbójników, złodziejów, którzy zechcą korzystać z nawyknienia podczciwego człowieka do ślepego posłuszeństwa zawsze, jak machina, pomimo własne uczucie.« W tém dobył z kieszeni czerwoną chustkę, w którą zaczął, jak dziecię, szlochać. Zatrzymałem się na chwilę, chcąc niby poprawić strzemię i zostawszy za jego wózkiem, jechałem czas niejaki za nim, czując, żeby go to upokarzało, gdybym nadto wyraźnie widział obfite łzy jego. Dobrzem zgadnął, albowiem w kwadrans niemal przyszedł także w tył swego wózka, i zapytał mię, czy nie mam

w tłumoku moim brzytwy; na co po prostu mu odpowiedziałem, że nie mając jeszcze brody, brzytwa na nic nie byłaby mi potrzebna. Lecz on nie przestał na tém, zaczął dla tego tylko, aby o czém inném mówić. Spostrzegłem jednak z ukontentowaniem, że powraca do swéj historyi, rzekł albowiem zaraz:

»WPan nie widziałeś nigdy okrętu, nie prawdaż?« — »Nie widziałem,« była odpowiedź, »tylko w panoramie w *Paryżu*, i nie wiele polegam na morskiéj umiejętności mojéj, którą ztąd powziąłem.« — »A więc WPan nie wiesz, co to jest *bossoir*.« »Ani się domyślam,« odpowiedziałem.—»Jest to rodzaj terasy z desek, wystającéj naprzód okrętu, zkąd kotwicę rzucają w morze,«—»Aha! pojmuję, ponieważ kotwica spada z tamtąd w morze.« Nic nie odpowiedział, i zaczął opisywać szalupy okrętu. A potém, bez ładu w myślach, ciągnął daléj swoje opowiadanie z ową udaną niedbałością, któréj się w długiéj nabywa służbie, ponieważ potrzeba pokazać niższym od siebie pogardę niebezpieczeństwa, pogardę ludzi, pogardę życia, pogardę śmierci, i pogardę siebie samego; a wszystko ukrywać pod twardą skorupą, zawsze prawie głębokie uczucie. Twardość żołnierza jest jak maska żelazna na szlachetném obliczu, jak turma kamienna, zamykająca dostojnego więźnia.

»Statki te,« odpowiedział, »mają więcéj jak po ośm wiosłowych; rzucili się weń i porwali *Laurę* z sobą, nie dawszy jéj czasu krzyczeć, ani mówić. Lecz jak wszędzie w świecie są ludzie niezgrabni, tak i majtkowie moi popełnili głupstwo i popłynęli przed czołem brygu. Prawda, że nie zawsze można wszystko przewidzieć. Mniemałem, że noc pokryje ciemnością swoją sprawę naszę, i nie myślałem o blasku dwunastu strzelb, które miały naraz wypalić. I, na honor, biedna kobieta widziała z czułna męża swego, jak zastrzelony zleciał w morze. Jeżeli jest Bóg nad nami, ten wie, jak się stało to, co Panu mam opowiedzieć; ja tego nie wiem, lecz widziano i słyszano ją tak, jak ja tu widzę i słyszę WPana. W chwili wystrzału chwyciła się ręką za głowę, jak gdyby kula uderzyła ją w czoło, usiadła w czółnie bez mdłości, bez krzyku, bez mowy, i powróciła do brygu, kiedy i jak chciano. Poszedłem do niéj, mówiłem do niéj długo i jak mogłem najlepiéj. Siedziała w postaci, jak gdyby mię słuchała, i patrzała mi w oczy i przecierała sobie czoło, nie rozumiała mię; czoło jéj było czerwone, a twarz blada. Drżała na całem ciele, jak gdyby się wszystkich bała. To na zawsze jéj pozostało. I teraz jeszcze jest w takim samym stanie, jak głupia lub szalona. Nigdy od tego czasu nie wyszło z jéj ust słowo, oprócz kiedy mówi, aby jéj wyjąć to, co tkwi w jéj głowie.«

»Od owéj chwili i ja; równie jak ona, zasępiłem się, uczułem w sobie zaraz jakiś głos, który na mnie wołał, pozostań przy niéj aż do swojéj śmierci i pilnuj jéj. Ja też tak uczyniłem. Powróciwszy do Francyi prosiłem o pozwolenie przejścia w moim stopniu do wojska lądowego, znienawidziwszy morze, gdzie przelałem krew niewinną. Dopytałem się rodziny *Laury*.— Matka była już umarła. Siostry, do których przywiózłem ją obłąkaną, nie chciały jéj przyjąć i radziły mi zawieźć ją do przytułku obłąkanych w *Cherenton*. Obróciłem im plecy i powiozłem ją z sobą. Ah! miły Boże, kolego, chcesz ją widzieć.— Oto patrzaj. Tpru! stój.

(Dokończenie nastąpi.)

Niejaki P. *Allorte* w *Paryżu*, otrzymał patent na wynalezienie nowego kamienia młyńskiego. Jest on z granitu, i ma w środku przewiercony otwór, w który wkłada się metalowy drąg, do którego kamień jest przymocowany. Ma on 5 cali grubości, wysokości 18 cali, i obraca się wertykalnie, podczas gdy inne kamienie młyńskie, obracają się horyzontalnie. Trze się z innym granitem, tworzącym wycinek obszerności czwartéj części okręgu, i mogący bydź za pomocą szruby bliżéj lub daléj przysuwany. Tym sposobem można na godzinę mléć pięć podwójnych *decalitrów*; zajmuje miejsce zwyczajnéj komody, i kosztuje tylko 1500 fr. Każdy rodzaj siły poruszającéj, może bydź do tego użyty; siła jednego konia, i siła wody obracająca

zwyczajne koło młyńskie, jest dostateczną do poruszenia sześć takich kamieni. Temi kamieńmi nietylko można mléć wszystkie gatunki zboża, lecz i każdy rodzaj legumimy, z któréj ma bydź tylko łupina zdiętą. Można także bardzo korzystnie mleć tym sposobem gips, cyment, korę drzew dla garbarzy i t. d.

Podług urzędowych list w Anglii, w ciągu ostatniego roku, obwiniono o kradzież 118 osób, z których jeden tylko był na śmierć skazany.

W *Paryżu* wyszło tłómaczenie *Sabbatu Czarownic* przez *Tiek*. Dzieło to jest dziwne i dowcipne.

Jedna z gazet Szwajcarskich wspomina o osobliwszym pojedynku odbytym między kobietą nader mocnego składu ciała, a piekarzem, który został przez nią wyzwany. Pojedynek odbywał się na szpady, a kobieta została ranioną; jednak za wyzdrowieniem chciała się na nowo z swym przeciwnikiem potykać.

W *Ohlau* pewien kupiec posiada białą szpickę, która przed kilku tygodniami oszczeniła się; szczenięta zostały zaraz po urodzeniu się utopione. Matka ich zasmucona tą stratą, po całych dniach nie bywała w domu, aż jednego dnia przyniosła w pysku młodego zająca. Temu zwierzęciu poświęca całe swe przywiązanie, podzielone wprzódy między jéj dzieci. Zanosi go na ciepłe miejsca, karmi go i tkliwie liże. Lecz i jéj przysposobiony synek okazuje wielkie przywiązanie do swéj drugiéj matki. Jak tylko ją ujrzy, skacze z radością naprzeciw niéj, i nadzwyczajną okazuje radość.

Improwizacya Anny z Krakowa.(*)

To za wiele! to za wiele!
Chcecie wiedzieć przyjaciele!
Skała wam echem odpowie,
Strumień szmerem przyśpiewuje,
Drzewo liściem zaszeleści.
Lecz wiedzieć to, co ja czuję,
Co moje myśli tak pieści.
I jak się mój luby zowie?
To za wiele, to za wiele!
Chcecie wiedzieć?... a więc trzeba
Zapytać się o to nieba.
Jak niebo, które nie mroczy
Żadnéj brudnéj chmurki smug,
Taka jego dusza właśnie.
O znam ją... bo znam te oczy...
Ona w nich nigdy nie gaśnie,
Tam jéj życie nadał Bóg!
Chcąc ją poznać, tylko trzeba
Spoglądać w błękity nieba!
Kiedy jestem blizko niego,
Gdy mnie pieści, gdy pociesza,
Możeż w nas bydź co ziemskiego?
Porzucamy poziom świata...
Myśl z myślą zlewa się, mięsza —
Wtedy piękna dusza jego
W rajskie okolice wzlata.
Chcąc ją poznać, tylko trzeba
Poglądać w błękity nieba.
Gdy mię na chwilę porzuci,
Wtenczas niechcący zasmuci;
Ja czuję ręki ściśnienie...
Sama nie pojmuję siebie,
Słyszę ostatnie słów brzmienie
I jestem w niebie.
I tam tak długo zostaję,
Aż myśl czarna, aż myśl smutna
Z ostrzeżeniem do mnie spłynie.
Sprowadzi mię w ziemskie kraje,
I każe wierzyć okrutna,
Że to jest tylko marzenie!

(*) *W pewnéj grze, przy sądzeniu fantów, zadano jéj pytanie:* »Jak się jéj Luby zowie?« *pomyśliwszy chwil kilka tą improwizacyą odpowiedziała uradowanemu towarzystwu. Jest to młoda, wiele talentów mająca rymotworka nasza, która bezsprzecznie zajmie wkrótce niepospolite miejsce w rzędzie uczonych Polek.*
(Przyp. redak.)